

Antyszczepionkowy bunt peryferii. Przypadek Gwadelupy

28 listopada 2021

„Nikt nie wie, co jest w środku dyni” – to kreolskie przysłowie z Gwadelupy znaczy, jeśli przetłumaczyć idiom: „Tylko cierpiący wie, co się dzieje w jego sercu”. Ludowego powstania i strajku generalnego na tej francuskiej, karaibskiej wyspie nie można sprowadzić jedynie do antyszczepionkowego buntu. To fałszywa narracja.



Pierwsze powstanie niewolników na Gwadelupie wybuchło w 1656 r. Polska przeżywała wtedy potop szwedzki, więc nie mogła zwrócić uwagi, zresztą w samym Paryżu dowiedziano się o tym wiele miesięcy później, a musiało jeszcze upłynąć kilka lat, zanim dwór królewski miał jako tako pełny obraz tego, co się wydarzyło. W każdym razie, był to olbrzymi szok (dla porównania, pierwszy bunt czarnych niewolników w Ameryce północnej miał miejsce prawie 200 lat później) – gdyż była to rzecz niewyobrażalna. Ale wkrótce dwór w Luwrze przeżył jeszcze większy szok, bo powstał pierwszy szkic Czarnego Kodeksu, który miał unormować kwestie niewolnictwa. Niewolnicy otrzymali w nim status mebli.

Nikt nie był w stanie uwierzyć, a tym bardziej młody jeszcze Król Słońce, że czarnym niewolnikom można nadawać tak ekscentrycznie wysoki status. Projekt wyśmiano, nawet damy chichotały, więc wylądował na dnie dolnej szuflady. Minęły kolejne lata, aż wyciągnął go z niej błyskotliwy minister tego samego króla Jean-Baptiste Colbert – dziś przed francuskim parlamentem stoi jego pomnik, pod którym regularnie sikają „żółte kamizelki”. Był to człowiek praktyczny, a Ludwik XIV

już sporo starszy. Właśnie budował Wersal, wybierał meble i argument Colberta do niego dotarł: o meble trzeba dbać, by uniknąć kłopotów i niepotrzebnych wydatków. Colbert popracował nad tekstem i w 1685, tj. prawie 30 lat po „burdach” na Gwadelupie, król zadekretował Czarny Kodeks dla francuskiej Ameryki.

W imię Pana

Nawiasem mówiąc, pierwszy paragraf tego Kodeksu nie dotyczył niewolników, lecz – w imię szerzenia chrześcijaństwa – Żydów. Colbert wymyślił, żeby wyrzucić ich z kolonii, co pozwoli przejąć zyskowny handel niewolnikami. Żydzi z Gwadelupy i innych terytoriów wyjechali do kolonii angielskich i hiszpańskich, by kontynuować swój biznes, a handlem niewolnikami w koloniach francuskich zajęli się francuscy chrześcijanie, głównie z Bordeaux. Czarny Kodeks stanowił pewien postęp, bo wcześniej afrykańscy niewolnicy nie mieli żadnego statusu. Postęp odnotowało też chrześcijaństwo, bo Kodeks przewidywał wolne niedziele dla ochrzczonych. W praktyce było to niecałe pół niedzieli, ale niewolnicy mogli spać na stojąco w czasie mszy, więc katolicyzm zrobił furorę.

Czarny Kodeks nakładał karę na właścicieli, którzy zabijali niewolników, w wysokości worka cukru (niewolnicy pracowali z reguły na plantacjach trzciny cukrowej). Bić można było do woli, ale zabójstwa nieposłusznych czy chorych i starych nie nadających się już do pracy (dla oszczędzenia wydatków na żywność) stały się prawie skomplikowane. Niewolnicy nie mogli się skarżyć, ale w wyjątkowych sytuacjach mogli świadczyć. By złagodzić ten przepis, dodano paragraf, że świadczącym niewolnikom nie wolno wierzyć. Właścicielom zakazano też gwałtów i używania niewolnictwa seksualnego, ale można było ich skazać jedynie na wyrzuty sumienia.

Poza tym, niewolnicy nic nie mogli, np. stykać się z niewolnikami innego właściciela, czy nawet uprawiać własnej

mini-grządki, by żywnościowo pozostali zależni od łaski pańskiej.

Duch niewolnictwa

Czarny Kodeks obowiązywał (z kilkuletnią przerwą po Rewolucji Francuskiej) w amerykańskich koloniach Francji do połowy XIX w., do Wiosny Ludów. Biała arystokracja z Gwadelupy nie mogła przywyknąć do pomysłu płacenia wolnym już, b. niewolnikom, więc kupiła u Anglików 50 tys. hinduskich nędzarzy, którzy byli gotowi pracować za przysłowiową miskę ryżu. Miejscowi z początku patrzyli krzywo na „łamistrajków”, ale widząc ich stan, nauczyli ich spać na stojąco. Jean-Luc Mélenchon, lider francuskiej lewicy, woli mówić o „kreolizacji” w Europie niż „wielokulturowości”, i podaje przykład Antyli jako niemal jednolitej, pokojowej kultury złożonej z wielu ras i ludów.

Mieszkańcy Gwadelupy mówią (równoległe do francuszczyzny) językiem kreolskim, opartym na starofrancuskim z dodatkami angielskimi, hiszpańskimi i holenderskimi oraz składnią języków afrykańskich. Jest to język niebinarny (bez rodzajów żeńskiego, męskiego i nawet nijakiego), który łączy 99 proc. różnokolorowego społeczeństwa. Pozostały niecały 1 proc. to biali z byłej arystokracji (zwani békés), która umknęła gilotynie. Posiadają 90 proc. branży agro-żywnościowej i połowę ziemi.

Krółami wyspy jest rodzina Hayot, miliarderzy, kupujący lokalnych polityków. Békés zachowali mentalność właścicieli niewolników, podczas gdy dzisiejsi potomkowie niewolników odwrotnie: nie da się ich prosto porównać do „mentalności niewolniczej”, którą niektórzy socjologowie przypisują Polakom, jako potomkom chłopów pańszczyźnianych.

Przed powstaniem

Stało się tak, choć wychodzenie z niewolnictwa było bardzo

powolne: ludzie w końcu musieli dołączyć na polach do Hindusów. Po drugiej wojnie światowej Gwadelupa, Martynika i Gujana przestały być koloniami, stały się (teoretycznie) równorzędnymi departamentami Republiki, tyle, że zamorskimi. Europejska Francja potraktowała je jednak jak swoje afrykańskie kolonie, jako zasób siły roboczej, z którego koncerny ściągały masowo tanich robotników, by robić konkurencję miejscowym.

Płace na Antylach były i są średnio o jedną trzecią niższe, niż we Francji kontynentalnej, a wszystkie towary w sklepach średnio o jedną trzecią droższe. Prawie wszyscy wykształceni mieszkańcy wyjeżdżali więc do Europy. Na czele lokalnej administracji stali i stoją więc biali Francuzi kierowani tam na kilkuletnie kontrakty przez Paryż.

Na Gwadelupie prawie jedna piąta populacji to funkcjonalni analfabeci. Dlaczego? Kilkadziesiąt szkół pozostaje nieczynnych od lat lub czynnych tylko okresowo, gdyż przepisy wymagają, żeby w szkołach była bieżąca woda. Jedna trzecia terytorium wyspy nie ma do niej dostępu, z braku wodociągów (i zresztą kanalizacji sanitarnej). Wodociągi istniejące są tak stare, że tracą 60 proc. przepływającej przez nie wody, przerwy w jej dostawach są regularne, codzienne. Administracja zawsze uważała, że naprawa tego to zbędny wydatek, tym bardziej, że faktycznie rządzący békés mają swoją, prywatną kanalizację. Inwestycje publiczne na Antylach i w Gujanie są dużo niższe niż we Francji europejskiej: ochrona zdrowia i edukacja, infrastruktura publiczna pozostają na mocno marnym poziomie. Bunty przeciw drożyznie i zaniedbaniom władzy były szybko pacyfikowane siłą.

Epidemia oporu

Kowid nie zrobił na miejscowych praktycznie żadnego wrażenia, mimo natrętnej propagandy, gdyż na wyspie panuje epidemia raka. 90 proc. mieszkańców ma we krwi chłordecone, pestycyd

stosowany na plantacjach bananów, mimo świadomości Paryża, że jest silnie trujący. Neoliberalni „socjaliści” z Paryża przedłużali zezwolenia na jego stosowanie, by zadowolić békés i w nadziei opanowania europejskiego rynku bananów. Gwadelupska bananowa republika nie ma odtąd żadnego zaufania do ogłoszeń władzy, nie tylko o nieszkodliwości chemikaliów.

Dwanaście lat temu wyspa strajkowała 42 dni przeciw brakowi wody, szalejącej drożyznie i bezrobociu (do dziś ponad 60 proc. osób do 30 r. życia nie może znaleźć pracy). Padło wtedy wiele obietnic. Na rok przed kowidem 80 proc. populacji poparło strajk służby zdrowia, w stanie tak żałosnym, że mężczyźni szczególnie dotknięci epidemią raka (prostaty) nie mają gdzie go leczyć.

Na początku epoki kowidowej wszyscy stosowali się do lockdownów. Gorzej poszło z maskami, bo zbyt kojarzą się miejscowym z kagańcami zakładanymi niewolnikom, by poprzez milczenie bardziej przypominali meble. Władzom udało się zaszczepić dotąd ok. 35 proc. populacji, reszta kategorycznie odmówiła. Przypadkowo zresztą tylko dwa, najmniej zaszczepione francuskie terytoria zamorskie figurują na oficjalnych mapach kowidu z tego miesiąca wymalowane na zielono, gdyż jako jedyne znajdują dużo poniżej „kowidowego stanu alarmowego”, co dziwnie wygląda w porównaniu z kontynentalną Francją zaszczepioną w prawie 90 proc. W pierwszym dniu powstania na „zielonej” Gwadelupie były raptem dwa „przypadki”, oba wśród zaszczepionych.

Wybuch powstania

To, co najbardziej wkurzyło ludzi w szczepionkach, to bezwzględny przymus. Przy takim braku zaufania do władz to nie mogło przejść.

<https://www.youtube.com/watch?v=WI-w-fww2o>

Wybuch powstania (15 listopada) poprzedziły cztery miesiące

protestów anty-obostrzeniowych. Mieszkańcy nie mogli wytrzymać zachowania policji, która w 2019 r. pacyfikowała szpitalne protesty, a teraz biegała za ludźmi bez masek, by wlepić im mandaty lub aresztować. Pierwszy dzień strajku generalnego i zrywu powstańczego, popartego przez wszystkie związki zawodowe i partie lewicowe, był bardzo chaotyczny. Podczas gdy Reuters biadolił nad kilkoma sklepami obrabowanymi w Pointe-à-Pitre (największym mieście wyspy), mężczyźni, kobiety i dzieci stanęli pod posterunkiem żandarmerii w niedalekim Gosier, by śpiewać kreolskie pieśni, bo policja aresztowała dwóch strażaków (cała straż pożarna dołączyła do powstania, policja sama musiała gasić pożary na swoim terytorium). To się powtarzało w innych miejscowościach.

„Zrobimy własny lockdown” – od tej pory Gwadelupa jest sparaliżowana. Nie pomogły policyjne posiłki z Paryża, ani wysłanie sił specjalnych, ani godzina policyjna, ani wozy opancerzone. Nawet kiedy uda im się zlikwidować którąś drogową blokadę i aresztować jakichś tubylców, wkrótce powstaje nowa, w tym samym miejscu, lub trochę dalej. Blokadę są strzeżone różnie: przy części dyżurują związkowcy, gdzie indziej okoliczna młodzież lub nawet same kobiety z dziećmi. Do postulatów przeciw „paszportowi sanitarnemu” (nazywanemu tam, jak w Europie, „paszportem nazi-tarnym”), czyli przeciw zmuszaniu do szczepień, dołączyły wszystkie stare postulaty socjalne: woda, ochrona zdrowia, walka z bezrobociem, drożyzną i gospodarczym monopolem békés. Powstała całkiem solidna sieć samopomocy.

Szałeństwo Paryża

Minęło kilka dni od początku rewolty, gdy dołączyły doń dwa inne pobliskie departamenty: Martynika i Gujana. Od kilku dni powstała Polinezja Francuska, po drugiej stronie globu. W samej Francji tworzy się sieć pomocy zbuntowanym departamentom. Najgorzej jest teraz na zablokowanej Martynice, gdyż tam powstańcy od razu zaczęli używać broni palnej przeciw

policji. Na Gwadelupie władze osiągnęły punkt krytyczny represji, gdyż nie ma już miejsca w lokalnym więzieniu, ani siedzibach policji, czy żandarmerii (część z nich powstańcy spalili). Trudno szybko rzucić na kolana kilkaset tysięcy ludzi, gdy ich determinacja rośnie, zamiast spadać.

Paryż najpierw próbował podzielić powstańców, zaproponował np. zwolnienie z obowiązku szczepionkowego strażaków, tzn. zrównanie ich praw z policją i politykami. To nic nie dało, więc wczoraj paryski minister ds. departamentów zamorskich ze stajni neoliberalnego ekstremisty Macrona, ogłosił niebywałą rzecz: że Francja jest gotowa przyznać autonomię tym departamentom lub nawet oderwać je od Francji, co spowodowało opadnięcie szczęk nawet u macronistów. Był to naturalnie sposób na zastosowanie starego numeru właściciela: jak się nie podoba, to możemy was zwolnić... Tak oto rozszerza się mała historia zaczęta gdzieś, na dalekiej wyspie. Oczywiście mało kto wierzy, by dotarła kiedyś do nas, ale dobrze jest pamiętać, że właściwie nikt nie wie, co jest w środku dyni...

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: [Strajk.eu](https://strajk.eu)